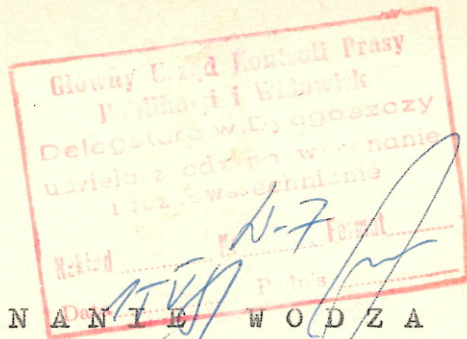


Marian TURWID



POŻEGNANIE WODZA  
=====

/z cyklu DNI WIELKIEJ DOLINY /

Spadła na mnie ta straszna wiadomość w magazynie materiałów malarskich, do którego posyłał mnie do Poznania mój majster po comiesięczne przydziały pokostów i lakierów. Po dokonaniu zamówień należało udać się do kasy, aby uiścić należność. Tę czynność załatwiałem zawsze najchętniej, gdyż w jej trakcie dama pełniąca obowiązki kasjerki znajdowała zazwyczaj sposobność zamienienia ze mną, najcichszym szeptem, najgłośniejszych informacji politycznych. Czyniła to z niezwykłą zręcznością i mimo, że w pobliżu znajdowali się Niemcy, a nawet wtedy, gdy tuż przy niej siadywał za biurkiem sam przewodniczący "~~der~~ Malerinnung", ponury hitlerowiec w karawaniarskim mundurze. Podziwiałem ją jeszcze, za trafność jej komentarzy politycznych i za odwagę i zręczność z jaką je podawała. Podziwiałem opanowanie, chłód i wyniosłość, jakie cechowały każdy gest, każdą czynność skromnej kasjerki. Nie znałem jej ani z imienia, ani z nazwiska, ale wiedziałem ponad wszelką wątpliwość, że mimo ubogiej powierzchowności mam przed sobą damę w najlepszym tego

175

słowa znaczeniu. Jedną z tych polskich pań, która w najgorszych okupacyjnych warunkach z taką powagą, wyniosłością i bez kompromisów reprezentowały godność polskiej kobiety. Jej ciemne, pełne wyrazu oczy miały w mądrych źrenicach ten sam chłód obojętności, gdy szept warg powiadał o największych dla nas klęskach czy triumfach sprzymierzonych nad Niemcami. Jej niewzruszone opanowanie i spokój udzielały się. Dzieliliła się nie tylko wiadomościami, ale i niezłomnością wiary, pełną ufności, rzec by można, zawziętą wręcz pewnością zwycięstwa.

Nic przeto dziwnego, że na chwilę zamarło mi serce, gdy podchodzącego do kasy nie powitał mnie zwykły ledwie dostrzegalny uśmiech porozumienia, ale surowo zaciśnięta linia warg i spojrzenia jakby zagasłe i bezbrzeżnie smutne.

"Boże drogi, cóż się jej stało?! Jakież straszne przytrafić się jej musiało nieszczęście, że te oczy tak mocne utraciły swój blask, a ręce tak zawsze spokojne i pewne w ruchach drżą oto nerwowo i mylą się co chwila w geście".

Nie mogłem podejść od razu i zapytać o powód przygnębienia, bo przed kasą tłoczyli się niemieccy klienci. Czekałem więc, od czytując po wielekroć umieszczone na ścianie groźne obwieszczenie:

177  
B

"Hier wird nur deutsch gesprochen!" i łudząc się nadzieją, że może w tym czasie ponure Niemczysko przeniesie się do dalszych części magazynu. Niestety, szef nie ruszył się z miejsca, a moja kolej nadeszła. Przekładając rachunki i wyliczając pieniądze zdołałem między głośno po niemiecku rzuconymi zwrotami przemycić szep-tem pytanie: "Cóż się pani, na Boga, stało?"

Nie zdołała odpowiedzieć od razu. Wargi jej poruszyły się kilka-krotnie, nie wydawszy żadnego głosu. Jakby jej gardło zacisnął ~~skurcz~~<sub>CZ</sub> skurcz bólu. Jak by jej zabrakło tchu. Gdy wreszcie zmusiła się do mówienia, doszły do mych uszu tylko dwa słowa: "Zabił się..."

- "Zabił się? Kto? Ojciec? Mąż? Brat?"

W odpowiedzi potrząsnęła tylko głową. Rozpacz odjęła jej mowę. Jej dumne chłodne oczy przesłoniły łzy, a z ust wydarł się szloch, krótki ale tak żaloszny jak serdeczna skarga.

Poruszyli się wszyscy w pobliżu. Ponury szef poderwał się z miejsca:

- "Was ist mit Ihnen los?" Co się pani stało?

- "Nichts - odparła opanowując się największym wysiłkiem woli ". Nichts Herr Chef. Głowa mnie tylko strasznie dziś boli, głowa mnie bardzo boli.

I z pośpiechem kwitując rachunki, zdołała na odwrocie jednego z nich napisać kilka słów. By jej nie zdradzić, wsunąłem blankiety co prędzej do teczki. I dopiero na ulicy odważyłem się wyjąć je i odcyfrować ledwo czytelny dopisek ołówkiem. Odczytana wiadomość była niby uderzenie pięścią w samo serce. Lipcowym słońcem rozświetlona ulica przeobraziła się nagle w czarny, żaloszny wąwóz. I nie dziwiłem się już, że czyjeś dumne chłodne źrenice do tyłu przywykłe klęsk, tym razem nie wytrzymały ciosu i zalały się łzami. Nie tylko one jedne. Oczy całego kraju staną we łzach. Bowiem słowa, które odczytałem na kartce, przynosiły wiadomość okrutną: "Generał Sikorski nie żyje"!

W kilka dni później wybrałem się na pogrzeb generała. Wystrojony w tym celu specjalnie w mocno zachlapaną farbami kitel malarski, wziąłem do rąk wiadro i szczotkę i ruszyłem o umówionej porze na "Wawel". Nie byłem tam już, na tym starannie zakonspirowanym strychu, od dawna, Gauleiter Greiser nie na darmo obiecał Führerowi, że Kraj Warty przeistoczy w hitlerowski "Mustergau". Przy pomocy wszystkich środków teroru. Gdy w pierwszym czy nawet drugim roku okupacji nie brakło w Wartegau śmiazków codziennie słuchających potajemnie radia, to w roku 1943 było tych zuchwalców

już bardzo niewielu. Agenci Gestapo mieli już dość czasu, by przetrzasnąć wszystkie kąty i zakamarki "Kraju Warty". By wielką część ludności powywozić na wygnanie, do prac przymusowych w Rzeszy do obozów koncentracyjnych i więzień. Sieć niemieckiego nadzoru uczyniono już tak gęstą i precyzyjnie zaciskającą się, że nawet bibuła nielegalna zniknęła niemal zupełnie. A śmiałków przechodzących radiodbiorniki policja i konfidenci wykrywali niemal co do jednego. W środowiskach małych, na prowincji, konspiracja miała charakter już wręcz samobójczy.

"Waryjoty! - mrucał gniewnie palacz Szalaty, bohater powstania wielkopolskiego, obsługujący piece centralnego ogrzewania w podziemiach ratusza, i chyba ~~ś~~ tylko dzięki temu nie wysiedlony z miasta. - "Waryjoty, czyste waryjoty, te kunspiratory!

- Co pan plecie?

- No, bo powiedz pan som: przychodzi do mnie pokryjomu takich dwóch i powiadajom, że som delegacjom z główny podziymny kumyndy. - Dobra - powiadom, a o co się rozchodzi? Wiync mi mówiom, że jako jezdyd downy powstaniec i mom krzyż walecznych, to wyznaczony zostolym na kumyndanta tajny organizacji w naszym mieście.

- Powiadacie: tajny organizacji w naszym mieście?

- Właśnie.

Wtedy ja się pytam:

- A jak wam się zdaje, jak długo jeszcze t<sup>aa</sup>-a wojna potrwo?

Trzy miesionce czy pół roku?

- Człowieku powiadajom - z głupim się widziołeś, czy co?

Nojmniej jeszcze bez dwa albo trzy lata **bydymy** musieli na koniec wojny czekać.

- I wy myślicie, że bez te dwa abo nawet i trzy lata tajno organizacjo, którą ja tu teraz założę, bydzie w stanie swoim tajność uchować?

Wtedy uni: - że podziemie do wojny z Hitlerem jesta konieczne, że w Warszawie, że w borach tajne organizacje som i walczom.

- We Warszawie - powiadom - zgoda. W dużycha miastach - powiadom - zgoda. W borach, **byle** ino były dosyć wielkie - zgoda, ale w chudym lasku albo w mniyjszym mieście, nie.-Bo w takim mieście jak nasze ludzie znajom się wszyscy. I nikt tu sekrytu długo nie utrzymie. I bardzo pryndko gestapo wszystko przewoncho i nieszczynście gotowe.

- Ale przecież - powiadajom - ducha trzeba w narodzie

podnosić, nie?

- Jak dotąd - mówię - to Adolf i jego zbiry, robiom wszystko co ino mogom, żeby duch w narodzie nie zginął. Wiync poczekejma jeszcze z tajnom organizacjom, żeby wojna była bliży kuńca.

Wtynczos te delegaty machnyli na mnie rynkom i sobie pošli. I wiysz pon co? Teroz dopiyo wiym, że bardzo źle zrobiułym, że sie na jejych życzynie nie zgodziułym. Wielko błond zrobiułym.

- Tak pan uważa?

- Tak. Bo jak bym jo te kumyndactwo wzion, to bym wszystko jakoś ostrożnij poprowadziuł, a one tymczasym, te delegaty pošli łody mnio do naszych młodzioków, do tych studyntów, namówili jych na te organizacje i patrz pan, co narobili; nie potrwało nawet sześć tygodni a gestapo wszystkich nakryło i wyiezło do Poznania, na fory, do Domu Żołniyrze, pod topór gilotyny. I tak te biydne chłopoki już świata bożygu nie zobaczom.

Jeden z nich zobaczył. W kilka tygodni po rozmowie z Szalaty natknałem się na jedyngo, członka organizacji, który aresztowany i wywieziony do więzienia w Poznaniu, wrócił do Wrześni.

Wracaliśmy właśnie z żoną ze spaceru za miastem, gdy niespodziewanie minął nas Janek Winter. Zatrzymaliśmy się niezmiernie

uradowani jego widokiem. Był niewątpliwie jednym z najwybitniejszych w gronie naszej młodzieży. Ogromnie zdolny obdarzony zmysłem inicjatywy i pełen niezwykłego uroku.

- Jakie to szczęście, panie Janku, że zdołał pan wyjść z więzienia. Zatrzymany obejrzał się trwożnie. Szosa podmiejska była pusta. Podeszedł do nas szybkim, nerwowym krokiem. W jego pięknej twarzy o regularnych rysach ujrzałem wyraz, który mnie przeraził.

- Proszę państwa - mówił z pośpiechem i szeptem - proszę się w żadnym wypadku nie przyznawać do znajomości ze mną. Proszę mnie unikać i nie poznawać na ulicy i nigdzie.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale zagryzł wargi, odwrócił się gwałtownie i odszedł, a raczej odbiegł od nas, porażonych i przybitych tym spotkaniem. Sieć Greiserowska pętała nas coraz ciasniej. Zaciskała się nam niemal na gardłach. Na jej wzmagającą się precyzyjność należało odpowiadać zdwojoną czujnością.

Na pogrzeb naczelnego wodza szedłem więc wystrojony jak pomocnik malarski do bielenia sufitów. Trzy odpowiednio odmierzone stuknięcia uchyliły przede mną drzwi "Wawelu". Gdy wszedłem aparat radiowy już się nagrzewał. Aparatura naszych serc nagrzana była niemal do żaru, I tą wiadomością tak czarną, tak niewypowiedzianie tra-



giczną, tak bezlitośnie przekreślającą nadzieję powtarzaną przez wszystkich w Polsce w naiwnym wierszyku, zapewniającym, że "Im słońeczko wyżej, tym Sikorski bliżej!". A także faktem, że przed ratuszem stało czarne auto gestapo. Nieomylny znak, że dziś znowu z naszego miasta wywozą kogoś do Poznania: na forty, na Młyńską, do "Domu Żołnierza", do obozu tortur w Żabikowie na prawie pewną śmierć...

Czarne auto gestapo - niby karawan - ono jedno tylko było symbolem pogrzebu. W "Kraju Warty" nie było żadnego sposobu, by na zewnątrz dać wyraz narodowej żałobie. Nie zęgnały odchodzącego wodza ani chorągwie opuszczone do połowy masztu, ani konduktu pogrzebowe, ani dzwony kościelne. Dzwonnicom wydarto dzwony. Nawet zapłakać głośno nie wolno było tym milionom ludzi, dla których grzebany na obczyźnie człowiek był uosobieniem nadziei...

Jedynie głuchym milczeniem ~~poddasza patrzy~~, jedynie wielką ciszą mógł wielomilionowy naród iść za trumną wodza.

Gdym przez okienko poddasza patrzył na niemą sylwetkę gotyckiej wieży, ciemno się rysującą na złotym tle lipcowego wieczoru, usłyszałem nagle wyraźne dźwięki ~~dużo~~ dzwonu: głębokie, spiżowe, pogrzebne. Wspaniałe dzwony ~~Westminster~~ *Westminster* zaczęły bić

od chwili, gdy do królewskiej katedry wieziono ulicami Londynu  
zwołki generała Sikorskiego. Szliśmy za tą trumną krak w krok,  
w takt dalekich werbli żołnierskich, rytmem naszych serc.

Usłyszeliśmy jak oddziały honorowe prezentowały broń, wstaliśmy  
z miejsc, gdy orkiestra gwardii królewskiej zagrała przed katedrą  
nasz hymn narodowy. Jakże dziwnie, jak inaczej brzmiały dźwięki  
Mazurka Dąbrowskiego w wykonaniu flegmatycznych Brytyjczyków.

Jak obce, jak bardzo obce.

Kondukt żałobny wkroczył do katedry. Myśmy już tam za nim  
wejść nie mogli. Trzeba było co prędzej wracać z pogrzebu do  
domu, bo już za chwilę zegar wieżowy wybić miał "Polizeistunde".  
A czarny samochód gestapo wciąż jeszcze czekał na swoje ofiary.